

FILM

Miłość może nie wystarczyć

„Moi synowie” to film ważny. Na szczęście, jak wiele filmów na „ważne tematy”, nie jest publicystyczny ani dydaktyczny.

Jeżeli nie porozumiemy się mimo różnic, to znaczy, że oni wygrali” – mówi Pierre (Vincent Lindon) do swojego syna Fusa (Benjamin Voisin). Pierre jest ciężko pracującym mężczyzną, który po śmierci żony musiał sam wychować dwóch synów. Dziś obaj wchodzi w dorosłość, ale ich drogi poszły w różnych kierunkach. Młodszy syn Louis (Stefan Crepon) kończy z wyróżnieniem liceum i czeka na przyjęcie na Sorbonę. Fus uczy się w szkole policealnej. Nie wyszła mu kariera piłkarska, ale ma wsparcie zarówno zdolniejszego brata, jak i kochającego ojca. Razem jedzą śniadania, przygotowują posiłki i żartują. Wciąż zdarza im się kopać piłkę w ogrodzie i chodzić na mecze czwartoligowego Girondins Bordeaux. Jednak w ich, zdawałoby się, poukładanym świecie pojawia się ona. Radykalna ideologia. Karmiona agresją.

To właśnie podczas meczu widzimy kluczową scenę, w której reżyserki i scenarzystki (film oparty jest na powieści Laurenta Petitmangin) siostry Delphine i Muriel Coulin subtelnie pokazują rozpadającą się rodzinę. Wspólne rodzinne świętowanie gola dla ukochanej drużyny przerywają ultrasi, którzy od jakiegoś czasu wciągają Fusa do swojego środowiska. Wchodzą w sam środek ich rodzinnego kręgu i zaznaczają terytorium wokół Fusa. Ojciec ma nadzieję, że chłopak tylko eksperymentuje z radykalizmem. Pierre sam był radykałem w młodości. Lewicowym. Zaś jego syn idzie w stronę jawnie faszystowskiej prawicy. Pierre nie rozumie jeszcze, że Fus już nie tylko eksperymentuje, ale jest zatopiony w walkę z systemem z pozycji prymatu białej rasy.

Ojciec słyszy od swojego przyjaciela, z którym kiedyś toczył uliczne walki klasowe, że w ich czasach podział na komunistów i faszystów był jasny, a dziś pojęcia straciły znaczenie. To prawda. Postmodernizm zamordował nie tylko marksizm, ale też zmiata po prawej stronie sceny politycznej konserwatyzm. Obserwując eklektyzm coraz popularniejszej alt-prawicy, można część dawnych podziałów wyrzucić do kosza. Siostry Coulin nie



GALAPAGOS FILMS

pokazują jednak francuskich narodowców, którzy są przecież częścią francuskiego systemu i nie skupiają się na radykalizacji zarządzanej przez piarowców nowoczesnych partii politycznych. Fus nienawidzi wszystkiego, co się z systemem kojarzy. Skąd mająca brunatne barwy antysystemowość chłopaka? Przez zaborczość ojca, który wychowywał go w duchu wolności, równości i braterstwa, z których Fus otwarcie kpi? Przez śmierć matki? Lepiej mechanizm wciągnięcia młodego mężczyzny do neonazistowskich ruchów został wyjaśniony w nakręconym już ponad 25 lat temu „American History X” z wielką rolą Edwarda Nortona. Tyle że tam oglądaliśmy radykalizację chłopaka, którego ojciec zginął z rąk czarnoskórego. Fus jest natomiast wychowany w tzw. dobrym domu z kochającym i troskliwym ojcem u boku. Reżyserki nie chcą stawiać kroku dalej, bo chyba same nie do końca rozumieją przyczyn popularnego dziś odrzucenia liberalnego status quo.

W erze zmartwychwstania radykalizmów, które weszły do mainstreamu politycznego zdaje się być szalenie potrzebny. Mnie porusza najmocniej na płaszczyźnie rodzinnej. Vincent Lindon tworzy wybitną rolę ojca, który nie widzi, gdzie popełnił błąd, tracąc jednego z synów. Czuje się współwinnym dramatu, który nadejdzie wraz z rozwojem fabuły. Co mógł zrobić inaczej? Zamknąć na klucz syna w domu? Wyrzucić go na bruk? A może dotrzeć do jego serca dialogiem? Bo przecież sama miłość demona nienawiści nie pokonała. W czasie sterowanej przez algorytmy i cyniczną władzę nienawiści potrzeba czegoś więcej. Więcej niż miłość? Pierre może zapłakać wspólnie z ojcem granym przez Stephena Grahama z głośnego „Dojrzwania”. Obaj się starali, ale nie wyszło. Potwór nienawiści jest inteligentniejszy niż w czasach Czerwonych Brygad i Nowego Porządku. /©©

Lukasz Adamski

„Moi synowie”, reż. Delphine i Muriel Coulin, dystr. Galapagos Films

GOŚĆ „PLUSA MINUSA” POLECA

Bachata i morderstwa



PRZEMYSŁAW GÓRBECKI

DIANA BRZEZIŃSKA
autorka thrillerów i kryminałów

Film „Zniknięcia” okazał się przyjemnym horrorem. Historia zaginięcia dzieci, które pewnego dnia wyszły z domu i nie wróciły, przypominała mi trochę styl Stephena Kinga.

Zazwyczaj do pisania inspirują mnie prawdziwe sprawy. Ostatnio jednak przeczytałam powieść Johna Marrsa „Wszystko zostaje w rodzinie” i muszę przyznać, że to dla mnie majstersztyk – zdecydowanie najlepszy thriller tego roku, a może nawet jeden z najlepszych, jakie czytałam w życiu. Historia zaczyna się od domu, w którym znajdują się walizki z ciałami dzieci. To mocny początek, a śledztwo prowadzi w głąb rodziny. Szczególnie spodobała mi się struktura książki – klasyczna akcja przeplatana jest ogłoszeniami internetowymi, wiadomami z sąsiadami prowadzonymi po latach, fragmentami podcastów kryminalnych czy apelami policji. Dzięki temu całość jest świeża i znacznie ciekawsza niż typowy thriller.

Wakacje upłynęły mi na czytaniu i oglądaniu seriali. W kinie ostatnio byłam na filmie „Zniknięcia”, który okazał się bardzo przyjemnym horrorem. Liczyłam co prawda na większy zwrot akcji, ale zachwyciły mnie piękne kadry i klimat małego, tajemniczego miasteczka, które staje się jednym z bohaterów opowieści. Historia zaginięcia dzieci, które pewnego dnia wyszły z domu i nie wróciły, przypo-

minała mi trochę styl Stephena Kinga – intrygująca, niepokojąca i duszna atmosfera, którą naprawdę doceniłam.

Muzycznie najczęściej towarzyszy mi bachata, bo głównie tańczę w tym rytmie. To żywa muzyka, idealna na lato.

Czwarty, finałowy tom mojej serii jest już u wydawcy i najpewniej ukaże się na początku 2026 roku. Równolegle kończę pracę nad kolejną książką, która tym razem będzie jednotomowa, niezwiązana z serią – robię sobie chwilę przerwy od cyklu. Ale wracając do finałowej części – inspirowałam się historią, która kilka lat temu wstrząsnęła Polską. Chodzi o sprawę „małej Madzi” z Sosnowca. W mojej wersji role zostały odwrócone: jest spanikowany ojciec, matka, która zdaje się nic nie wiedzieć, odbywa się konferencja prasowa i jest znany detektyw. Ważną postacią jest profiler, który od początku stara się ustalić, kto zabił dziecko i czy ono rzeczywiście zginęło. Ten wątek poruszam w finale serii. W dalszej kolejności wzięłam na warsztat sprawę ze Szczecina sprzed prawie 20 lat – zabójstwo, które zostało ujawnione zupełnie przypadkiem, dzięki anonimowi wysłanemu na komendę. /©©

not. luko

Diana Brzezińska – autorka serii kryminałów o dr Aleksandrze Lewisie czy prokurator Gabrieli Sawickiej. Z zawodu prawniczka, mediatorka, związana naukowo z Uniwersytetem Szczecińskim